

Niestety moja sytuacja nadal jest niefajna. Wielkanoc minęła jak z bicia strzelił. We wtorek raz po raz sprawdzałam skrzynkę mailową i cały dzień patrzyłam na telefon niecierpliwym wzrokiem. Daremnie. Telefon nie zadzwonił i żaden e-mail nie przyszedł. Widocznie, tym razem, moje zbyt wysokie kwalifikacje, zadziałały na moją niekorzyść. Od środy powróciłam więc do codziennego rytuału poszukiwania pracy. I dziś mija już tydzień, a zaproszeń na interview ni widu, ni słyhu. Znowu znalazłam się więc na samym dole, trwającej od kilku miesięcy, psychicznej sinusoidy. Wisielczy nastrój przyszedł, jak zwykle, nieproszony i ani myśli wynieść się z mojego umysłu.

Całkiem już przestałam się lubić w ciągu ostatniego tygodnia. Patrzenie w lustro stało się wizją z horroru. Mam wrażenie, że na skutek bezrobocia przybyło mi milion nowych zmarszczek i postarzałam się o dziesięć lat. Nie umiem już nawet zdobyć się na uśmiech, widząc swoje lustrzane odbicie. Bo i do kogo miałabym się niby uśmiechać? Do niedojdy, która nie może znaleźć pracy i nie umie poradzić sobie z depresją? Do ofiary losu, która z dnia na dzień wygląda coraz starzej i tyje w oczach? Z przykrością uświadomiłam sobie, że w ciągu tych kilku miesięcy zaprzepaściłam niemalże rok mojej ciężkiej pracy nad zdrowiem i sylwetką.

Wywaliłam sporo pieniędzy na dietetyczkę i zdrową dietę, która działała. Dołożyłam do tego półt-oragodzinną jazdę na łyżwach trzy razy w tygodniu, codzienne ćwiczenia i byłam z siebie dumna. Z chęcią przeglądałam się w lustrze, mierząc ubrania, w które znów zaczynałam się mieścić i obserwując jak moje ciało zaczyna się ładnie modelować. I co? Co zrobiły ze mną prawie cztery miesiące bezrobocia? Wyglądałam gorzej niż przed pierwszą wizytą u dietetyczki! O dzinsach sprzed roku mogę zapomnieć. Nie ma szans, że zmieszczę je na tłusty tyłek! Ledwo udało mi się wcisnąć je na grube uda. Zaś ze spodni, które jeszcze całkiem niedawno były luźne, jak tylko zapięłam guzik, wylała się brzydka fałda tłuszczu. Kiedy to się stało? Jak to możliwe, żeby aż tyle przytyć w trzy i pół miesiąca? Przerażające! Jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważyłam? No, właśnie, możliwe. Jak większość dni spędza się w domu, w rozciągniętych dresach albo nie wychodząc z pidżamy, to trudno jest zauważyć przybywające kilogramy. A potem jest szok! Przecież ja nawet nie chcę wiedzieć ile teraz ważę. Taka wiedza mogłaby mnie co najwyżej wpędzić w jeszcze głębszy dół!

Zaczęłam analizować mój stan. Czy ja naprawdę żrę jak świnia i dlatego tak tyję? Otóż nie, bo zdarzają się dni, kiedy w ogóle nic nie jem. A potem nagle zaczynam odczuwać morderczy głód i zapycham żołądek czymkolwiek, niekoniecznie czymś zdrowym. A nawet jeśli zdrowym, to organizm myśli, że wtedy, kiedy nie jem, jest jakaś sytuacja kryzysowa i cokolwiek potem zjem, trzeba odłożyć na wypadek kolejnej głodówki. W ten oto sposób każdy brokułek czy pomidorek idzie prosto w tkankę tłuszczową. Do tego dołożmy jeszcze moją bezsenność. Każdy dietetyk nam to powie, że jak chcesz schudnąć, to się wysypiaj. Zaburzenia snu wpływają bowiem koszmarnie na walkę z nadwagą. No i bądź tu mądra i gub kilogramy zamiast ich przybierać! Poza tym, na skutek depresji, z trzech treningów łyżwiarских w tygodniu, zrobiły się (i to w porywach!) cztery w ciągu miesiąca. O ćwiczeniach w domu w ogóle nie było mowy. Szczególnie, kiedy za oknem było szaro i buro, padał deszcz, chandra brała nade mną górę i nie było szans nawet na krótki spacer.

Doszłam więc do etapu, że wstyd ludziom pokazać się na oczy. Może dlatego też zaczęłam stronić od koleżanek? I nie tylko o wstyd tu chodzi, ale jakiś taki totalny dyskomfort, kiedy jest się otoczoną smukłymi, fajnie ubranymi kobietami, podczas, gdy ledwie udało się dopiąć swoje spodnie i jeszcze założyć do tego luźną bluzkę do pół uda, żeby przykryć rozlazły tyłek, a i tak ma się wrażenie, że tłuszcz wylewa się na wszystkie strony.

Spotkań z paczką moich londyńskich koleżanek było więc raptem dwa. Wiadomo, że żadna z nich nie patrzy na mnie jak na obleśną kluchę i nie przestanie mnie lubić dlatego, że przytyłam. Ja jednak, w swoich własnych oczach, jestem właśnie taką wstrętną kluchą i już siebie nie lubię. Zwyczajnie sobie zbrzydłam! W dodatku, na początku czerwca mam jeszcze w Gdańsku wesele kuzynki, które napawa mnie przerażeniem. Tam to dopiero będę się czuła jak totalny grubas wśród tłumu smukłych kobiet. Nie podlega to absolutnie żadnej dyskusji, że społeczeństwo polskie, w porównaniu z angielskim, jest o niebo szczuplejsze. Nie ma się co oszukiwać – jeśli prędko czegoś ze sobą nie zrobię, mogłabym nawet założyć najdroższą na świecie sukienkę, spod igły najlepszego projektanta, a i tak będę wyglądać, na tle gości weselnych, jak świnia w rajtuzach!

Dwa tygodnie przed Wielkanocą, zaczęłam ćwiczyć w domu. O, jakże fatalnie poczułam się z moją skapcaniałą kondycją! Jeszcze pod koniec grudnia, trząsałam bez większego wysiłku po trzydzieści pompek plus zestaw innych ćwiczeń, a teraz? Ogromną trudność sprawiło mi zaledwie dziesięć pompek! Z dnia na dzień, jednak wysiłek podczas ćwiczeń był coraz mniejszy, a nawet udało mi się zgubić po pół centymetra w obwodzie talii, bioder i ud na tydzień. Ale w Wielkanoc było słodkie lenistwo i niemałe obżarstwo, więc dwa tygodnie ćwiczeń spisać można na straty. A jeszcze sama dołożyłam sobie kompleksów w kwestii obecnego wyglądu, wpadając na genialny pomysł, by wieczorem w Niedzielę Wielkanocną obejrzeć moja studniówkę, która miała miejsce siedemnaście lat temu!

Wspomnień czar – bezcenny! Jakże przyjemnie było zobaczyć twarze szkolnych kolegów i koleżanek, połowy których pewnie teraz nie rozpoznałabym na ulicy. Ileż miałam śmiechu z ówczesnej mody, szczególnie z zakresu fryzjerstwa. Przyglądając się swojej własnej oraz fryzurom koleżanek, kołatało mi w głowie jedno pytanie: „Kto nas, do licha ciężkiego, czesał?”. Fantastycznie jednak było popatrzeć na to, jak świetnie się bawiliśmy, jaką stanowiliśmy zgraną paczkę. Śledząc nasze wygłupy na parkiecie, dało się zauważyć tryskające z nas zadowolenie i beztroskę, pomimo zbliżającej się matury oraz egzaminów wstępnych na studia.

Patrząc na swawolę niektórych kolegów, jeśli ktoś wtedy powiedziałby mi, że będą uznanymi dziś biznesmenami czy lekarzami, pewnie zareagowałabym histerycznym śmiechem. Ale, tak samo, jak ja nie zostałam sprzątaczką i podążałam za własną ambicją, tak też oni okazali się upartymi, dążącymi do celu, zdolnymi i pracowitymi ludźmi. Jeden z nich od lat jest wyśmienitym stomatologiem, któremu ufam bezgranicznie i tylko jemu powierzam opiekę nad moim uzębieniem. Moje wizyty w jego gabinecie zawsze odbywają się w świetnej atmosferze, której towarzyszą wspomnienia, opowiastki i zwierzenia. I zawsze wychodzę z jego gabinetu uśmiechnięta od ucha do ucha, niczym aktorka w reklamie pasty do zębów.

Wracając jednak do studniówkowego filmu, patrzyłam na samą siebie z niedowierzaniem. Młoda, ładna, smukła i zadbana! Żal mocno ścisnął mnie za serce, kiedy na chwilę oderwałam wzrok od ekranu i spojrzałam po sobie. Znowu w rozciągniętych ciuchach, maskujących zwiótczałe ciało, obrośnięte tłuszczem... Tak właśnie, czarowny wieczór, przywołujący wspaniałe wspomnienia, stał się bolesną nocą prawdy. Dobry nastrój diabli wzięli i nawet, włączony za chwilę na DVD, mój ulubiony koncert Pink Floyd z Berlina nie zdołał wprowadzić mnie w lepszy nastrój.

Zastanawiam się jak poradzić sobie z huśtawką nastrojów i bezsennością? Bo to te dwie cholery mnie gubią i odsuwają od ćwiczeń oraz spożywania regularnych posiłków. Ileż to już razy wieczorem obiecywałam sobie, że od jutra nie ma to tamto – biorę się za siebie i nie dam się depresji? I co? O poranku znów z trudem zwlekałam się z łóżka, odprowadzałam rytuał poszukiwania pracy, a potem dzień znowu potoczył się nie po mojej myśli. Znów nie miałam apetytu, znów zabrakło mi energii...

Niemniej jednak, w obliczu nadciągającej rodzinnej uroczystości, muszę wziąć się za bary z letargiem, który rozpanoszył się w moim życiu i zgubić chociaż pięć kilogramów, żeby jakoś w miarę wyglądać i nie czuć się jak pulchna stara panna, która będzie wstydziła się cokolwiek zjeść, mając wrażenie, że ludzie wytykają ją palcami – „Taka gruba, a jeszcze sobie pozwala na kawał mięsa i ciasto. Nic dziwnego, że przybyła na wesele sama, bo któż chciałby pokazać się u boku takiej pyzy?”. Wiem, że takowa sytuacja byłaby prawdopodobnie tylko kreacją mojego skołatanego umysłu, ale wołałabym schudnąć, wyglądać dobrze i nie wkręcać sobie podobnych paranoi.

Czy jest to w ogóle do zrobienia, skoro nie mogę być pewna reakcji mojego, zrytego, ostatnimi czasy, mózgu? Nie jestem przecież w stanie przewidzieć, jaki będzie każdy następny dzień. Czy los się w końcu uśmiechnie choć trochę i ktoś zaprosi mnie na interview? Czy słońce zaświeci i zaraz po wstaniu z łóżka zrobię mały trening, zanim jeszcze zasiądę z herbatą przy laptopie? Czy odczuję chęć na śniadanie i każdy kolejny posiłek o odpowiedniej porze? Czy wyłonię się z domu choćby na spacer? Czy zobaczę się wreszcie z od dawna niewidzianą przyjaciółką (tą wspaniałą osobą, która zaprosiła mnie do siebie do Londynu przeszło dziesięć lat temu), czy też po raz kolejny odwałam spotkanie? Ile to już razy umawiałyśmy się na sto procent? A w ostatniej chwili ja wymyślałam cuda na kiju, żeby jednak wizyta się nie odbyła. Potem oczywiście żałowałam. Jednakże w danej chwili czułam, że nie dam rady. Że nie będzie to dla mnie miłe doświadczenie.

Podobno przebywanie wśród szczęśliwych ludzi sprawia, że przechwytuje się od nich dobre fluidy, a poprawa samopoczucia przychodzi w okamgnieniu. Ja chyba jestem jakimś wybrykiem natury, bo na mnie to tak nie działa. Szczęśliwi ludzie, podczas gdy ja jestem w dole, jeszcze bardziej mnie przygnębiają. I nie chodzi tu absolutnie o żadną zazdrość czy zawiść. Nie chodzi o to, że zazdroszczę im tego, że mają lepiej. Nie! Jeśli chodzi o szczęście moich przyjaciół, zawsze się nim cieszę oraz przyklaskuję każdym ich kolejnym sukcesom bez względu na to, co akurat dzieje się w moim życiu. Po prostu, będąc otoczona radosnym towarzystwem, jeszcze bardziej pastwię się wtedy nad sobą wewnętrznie, zadając sobie tysiące pytań z serii „Co jest ze mną nie tak, że nic mi się nie udaje, a życie co rusz kopie mnie mocno w tyłek?”. Cudze szczęście w momentach, kiedy jestem akurat pod wozem, sprawia, że ogarnia mnie strach przed przeciwnościami losu, z którymi sobie nie radzę i wypełnia mnie obawa, że tak już będzie na zawsze. Ponadto, ciężko się słucha czyichś barwnych opowieści o cudownych wakacjach, z których właśnie wrócili, o niespodziewanym awansie, podczas gdy samemu ledwo wiąże się koniec z końcem i wyczekuje zaproszenia na interview skądkolwiek. Przerażające są wtedy kolejne, nadciągające do głowy, niczym rozszałały sztorm, myśli, że o jakichkolwiek wakacjach nawet nie wypada teraz marzyć, a za niedługo możliwe, że wyląduje się pod mostem. Trudno z takim stanem umysłu, czuć się komfortowo, uśmiechać i rozkoszować spotkaniem. To wszystko napawa żalem, melancholią i przynosi osowiałość, prowadzącą do załamania.

Wiem, że spotkania z przyjaciółmi polegają też na wylewaniu z siebie gorzkich żali, w poszukiwaniu pomocy, chociażby w postaci słów otuchy. Tylko, że z doświadczenia wiem, że ludzi smutnych i przygnębionych, na dłuższą metę, ma się dość. Nikt nie lubi taplać się w czyimś bagnie rozgoryczenia i dusić w cudzym smętnym sosie. W pewnym momencie zaczyna się od takich zgorzkniałych ludzi stronić.

Bo apatią akurat można dużo szybciej się zarazić, niż radością. Przychodzi więc moment, że od tych, nazwijmy to po imieniu, toksycznych ludzi należy uciekać. Właśnie dlatego ja nie chcę infekować moich przyjaciół marazmem. Skoro opanował mnie, to zamknę się w izolacji, nie pozwalając wydostać się mu poza jej mury, żeby nie rozprzestrzeniał się wśród moich bliskich, jak zabójcza ebola. Nie chcę, żeby ludzie puciekali ode mnie, bo każde spotkanie ze mną wpędza ich w zły nastrój. Wolę przeczekać ten ciężki czas w mojej samotni, zachowując resztkę nadziei na pojawienie się światełka w tunelu i wyczekać w pojedynkę końca udręki.

Mam przyjaciółki, takie od czasów podstawówki i wczesnego liceum, które wiem, że nigdy ode mnie nie uciekną i zawsze mogę zrzucić przed nimi z wątroby, absolutnie wszystko, co ze mną złego się dzieje. Znamy się jak łyse konie, dałybyśmy sobie za siebie poobcinać nie tylko ręce, ale i nogi. W tej mojej ogromnej niedoli bardzo mi pomagają (te relacje mają już lat... dwadzieścia pięć!). Mimo, że mieszkają w Polsce, często wręcz bombardują mnie wiadomościami, jeżeli ja sama zbyt długo się nie odzywam. One wtedy wiedzą, że jest u mnie bardzo źle. Znają mnie jak własną kieszeń i wiedzą, że jak u mnie dół, to zaraz odcinam się od otaczającego świata. Mimo, że jedna z nich sama ostatnimi czasy borykała się z bardzo poważnymi życiowymi problemami, okazuje się, że jest niesamowicie silną kobietą, która szybko postawiła do pionu samą siebie i wciąż stara się wspierać mnie. Zdalnie, bo inaczej się nie da, ale ilekroć się słyszymy, bijemy brawo wymysłem dzisiejszej technologii, że połączenia międzynarodowe nie muszą kosztować nas krocie, a mieszczą się w pakiecie domowego Internetu. Wiadomo, że to nie to samo, co takie ludzkie spotkanie, przy kawie czy piwie, ale niestety tak wygląda w obecnych czasach nasze życie.

Druga zaś jest bardzo zapracowaną mamą, której w dodatku całkowicie umarł telefon komórkowy, więc na usłyszenie się nie było możliwości. Pozostały nam e-maile oraz wiadomości przez komunikator w mediach społecznościowych, ale to niestety nie to samo, co przyjacielska pogawędka. Wyczekuję więc z utęsknieniem naprawy jej telefonu lub zakupu nowego aparatu.

Jest jeszcze oczywiście moja wspaniała córka, która codziennie raczy mnie dobrym słowem. Bardzo stara się podnieść na duchu gderliwą matkę, którą widuje codziennie zaniedbaną, odzianą w dresy, bez makijażu i z wiecznie zaszępioną miną. Dla niej to musi być dopiero gehenna, obcować na co dzień z kimś tak negatywnym, jak ja! Na pewno ma już po kokardy wysłuchiwanie moich żali, jak również patrzenia na wrak człowieka, snujący się po domu. Dzięki bogu nie ma jej w domu przez całe dnie, bo albo jest w szkole, albo w pracy, a w weekendy spotyka się ze znajomymi. Inaczej na pewno już by ze mną zwariowała lub stała się taką samą, odrętwiałą postacią, jak ja.

Poza córką i moimi najbliższymi duszyczkami z rodzinnego miasta jest jeszcze tutejsza powierniczka, której nie straszne jest wysłuchiwanie o moich bolączkach. Nie rzuca mi już głodnych kawałków o pozytywnym myśleniu, które to jest postawą (tylko, że nie da się być pozytywnym, kiedy złośliwy los bezustannie rzuca kłody pod nogi!), co często kiedyś padało z jej ust, a ja zamiast być jej wdzięczna, raczej miałam ochotę przegryźć jej aortę!

Jakiś czas temu rozsypała się nasza zażyłość i to na dość długo. Był to nikomu niepotrzebny zgrzyt, wynikający z nieudolnego przekazu informacji osób trzecich. Postanowiłyśmy jednak tego nie rozstrząsać i szczęśliwie, od ponad miesiąca, przynajmniej kontakt telefoniczny się odnowił, z czego bardzo się cieszę. Nie może być dłużej niż dwa dni, żeby się do mnie nie odezwała i nie prowadziła ze mną godzinnych konwersacji o ważnych i zupełnie błahych sprawach. Cieszę się, że ta relacja odżyła, bo bardzo podnosi mnie na duchu i niekiedy pozwala wygrzebać się z wciągającego szybko doła.

Niestety nikt w magiczny sposób nie uwolni mnie z kokonu depresji i przygnębienia. Nikt nie sprawi, że pstryknę palcami i ot tak znów siebie polubię i zacznę żyć pełnią życia. Sama muszę więc znaleźć jakiś złoty środek, żeby się do końca nie załamać i iść przed siebie, nawet kiedy wieje mi w oczy silny wiatr. Nie wiem jak dalej potoczą się moje losy? Co zrobię, żeby znaleźć zatrudnienie i odzyskać równowagę? Póki co, codzienny rytuał przed laptopem będzie trwał dalej oraz postaram się spać i doprowadzić do w miarę ładnego wyglądu na wesele kuzynki, a po drodze może jakoś się wszystko poukłada. I może wkrótce polubię się choć trochę, przestanę widzieć siebie jako brzydką, grubą, głupią i beznadziejną.

Nieudacznicą

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Skorek80, dodano 04.05.2017 20:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.